

ZŁOTY RÓC  
ILUSTROWANY  
TYGODNIK  
LITERACKI ARTYSTYCZNY  
I SPOŁECZNY



REDAKCJA i  
ADMINISTRACJA  
WARSZAWA  
UL. MAZOWIECKA N°5  
TEL. N° 226-83.

N°

WARSZAWA  
DNIA 11 LUTEGO 1912 R.

8



Do powieści „Stare Iwy”.

Antoni Gawliński.

— Pocałował... w sygnet — mruknął wojewoda, podnosząc wzrok na księdza.

## Z DRÓG I LOSÓW MYŚLI POLSKIEJ.

Z teki pośmiertnej.

(Zastrzega się wszelkie prawa przedruku i przekładu).

Dokończenie.



zuemy teraz wzrokiem na kosmos.

Jakkolwiek przez pewną grupę cech swoistych zróżnicowane głęboko i trwale, narody wszystkie wyrastają z jednego podłoża i spojone są ze sobą inną grupą cech, które im wszystkim są wspólne, jest to jakby drzewo z osobnych więzi i tkanek złożone, lecz wspólnym korzeniem tkwiące w ziemi i wspólną pracą wszystkich swych więzi żyjące. Gdy jedna z więzi słabnie, lub przez złą pracę truciznę z siebie wydziela, odzywa się to ubytkiem sił lub zarażeniem na potężde i piękności całego drzewa. Wiedną liście na gałęzi, do której od korzenia dochodzą soki zbyt skąpe, albo zatrute, usycha gałęź, którą inna pogrąża w cieniu, albo przygniata. I na drzewo to spoglądając mówimy wówczas: chore!

Choruje ludzkość chorobami narodów swoich; ubożeje ich ubóstwem, przez rany ich krew traci, od gnicia ich zaraża się zgnilizną. I oto jest pierwszy kamień węgielny w fundamencie kosmopolityzmu: wspólność interesów całej ludzkości, czyli solidarność zdobyczy i strat, postępów i cofań się wszystkich narodów.

Ta wspólność i ta solidarność leżą głęboko ukryte przez mnóstwo faktów powierzchownych i głęboko przed wzrokiem ludzkim je zagrzebują różne ślepoty i namiętności ludzkie. Trudno je odkryć, trudno je w ludzkie umysły, po przez ogień i wir namiętnościowy zaszczipać. I jest to wielkiem dla ludzkości nieszczęściem, któremu stopniowo i z czasem zapobiedz może tylko wiedza historyczna, lepiej niż dotychczas na tym punkcie oświetlona i w umysły pokoleń wpajana. Dobroczyncą ludzkości byłby ten, kto by z mnóstwa odkrytych faktów utworzył obraz Nemezydy, która za cierpienia i krzywdy narodów mści się na narodach innych i postawił go przed oczyma ludzkości, aby widziała, jak z wyjałowionego na północy szmatu ziemi, widmo głodu wylania się na południe, jak ziarno zła zasiane na wschodzie, po łańcuchu przyczyn i następstw przerzuca się na zachód. Lecz chwila wstąpienia wiedzy takiej do umysłu i sumienia ludzkości jest jeszcze daleką. Oby nad przybliżeniem jej pracowali mężowie nauki gienjusze rozumu!

Ale, obok solidarności interesów inna jeszcze obręcz opasuje dokoła ludzkość; jest

nią: wspólność losów. Na całym obszarze ziemskiego świata, nad każdym krajem, nad każdym narodem, panują trzej straszni, nieprzemoczeni mocarze: cierpienie, błąd i śmierć. Wszyscy, na wszystkich stopniach geograficznych, cierpimy, błądzimy i umieramy. Trzy wieczne źródła groźby i bólu, trzy wieczne i nieskończone ogniwa.

A może być, aby ten, kto na równi z innymi czuje w piersi nóż bólu, płacze nad popełnionym błędem i widzi przed sobą śmierć — nie współczuł bólom, błędowi i umieraniu innych?

Drugim tedy kamieniem w fundamencie kosmopolityzmu — jest współczucie, nad którego mnożeniem się niech pracują poeci i moralisci — gienjusze serca!

Lecz oprócz solidarności interesów i wspólności poddaństwa trzem wielkim mocarzom świata: cierpieniu, błędowi i śmierci, wiąże jeszcze narody w spojony organicznie całość praca myśli jednostajnie usiłującej odkrywać tajemnice i opanowywać siły natury.

Oto wszystko, co orze grunt pod zasiew wzajemnej dla siebie życzliwości narodów, która w sercach najszerszych dosięga stopnia miłości wszechludzkiej, a pospolite i najliczniejsze od uczuć i czynów przeciwnych miłości powściąga.

Takim jest kosmopolityzm w czystości i prawdzie swej pojęty, każdy zaś inny jest błędnym i złym.

Każdy kosmopolityzm, który miłość ojczyzny za brzeg rozumu i serca wyrzuca, jest albo błędem wąskiego rozumu, w którym marzycielstwo ukrywa widok prawdy, albo błędem oschłego serca, nad którym panuje zasada wyrażona słowami: „ubi patria, ibi bene“.

Tak samo jak patryjotyzm, kosmopolityzm ulega fałszowaniu w ograniczonych umysłach i złych, oschłych sercach. Oprócz marzycieli wyobrażających sobie, że mogą wytrącić z posad naturę rzeczy i naturę ludzi — której w dodatku nie znają, — posługują się imieniem kosmopolityzmu — wszyscy leniwcy, udający miłość dla przedmiotów oddalonych, aby tym, które zblizka ich otaczają nie służyć, wszyscy uciekinierzy z cierpiącego obozu zwyciężonych do tryumfujących zwycięzców, wszyscy, którzy ścigają swój zysk, swoją rozkosz, swoje wyniesienie się poza granicami Ojczyzny, gdy ona zdobyczy tych w mierze im pożądaną dostarczyć nie może.

Jeżeli nienawiść, chciwość, pycha, okrucieństwo, stokroć częściej niżby to dla szczęścia ludzkiego potrzebnem było, prze-

rabiają patryjotyzm z gwiazdy w grude błota, to względem kosmopolityzmu równie często czynność tę spełniają, ograniczone marzycielstwo, sobkostwo, techórzostwo, brudne zasłanianie wielkimi słowami małości duszy własnej.

A jednak, płaty śniegu przebywające powietrze posiadają białość niepokalaną i brudnemi czyni je dopiero zetknięcie z ziemią— a jednak światłem czystym jaśnieją na niebie gwiazdy kierownicze, choć źle niekiedy dostrzeżę ich światło ułomny wzrok żeglarzy.

W oczyszczeniu zarówno patryjotyzmu jak kosmopolityzmu z błędów i brudów, którymi napełniły je ludzkie namiętności i ludzka głupota, z harmonijnego połączenia dwóch tych tonów duszy ludzkiej w jeden akord, na niebie ludzkości, dwóch tych kierowniczych gwiazd w jedno słońce, powstać może nowa i lepsza od poprzedzających era świata. Ono, to połączenie dwu idei, w prawdzie i czystości swej rozumianych, sprowadzić może oczyszczenie ludzkiego świata z grzechu i krwi, utulenia go w jego wielkim terażniejszym płaczu.

Czy jest ono możliwem?

Jak wszystkie rzeczy ogromne i zbawcze jest do osiągnięcia trudnem.

Co pewna, to, że jednej z dwóch tych idei na rzecz drugiej zaprzeczać, jednej z dwóch tych gwiazd na rzecz drugiej gasić nie należy. Obie uzupełniają się i udoskonalają nawzajem, obu jest nie zanadto do uszlachetnienia ludzkich serc i istnień, do rozproszenia grubych i upartych ciemności ziemskich.

Należy tylko pragnąć i usiłować, aby promienne obrysy ideałów zamiast mętami głupoty i błotem namiętności, wypełniane były światłem prawdy i miłości, aby ku tej świętej robocie podnosił się las coraz gęstszy rąk czystych i mądrych.

A czy rychlej, lub później robota święta wykonaną zostanie, czy prędzej lub później, ludzkość zrozumie i w życie wprowadzi wielkie słowa francuskiego myśliciela: „un et tout — voilà la formule du monde, un et tout—voilà la vraie formule de la société“, — o tem dziś wiedzieć nie możemy.

Lecz nad wszystkimi niepewnościami biednego wzroku naszego, nad zagadkami i zadaniami tragicznego naszego na ziemi istnienia wzbija się jedyne, nadzieję niosące hasło: „sursum corda“.

\* \* \*

Takimi są myśli o patryjotyzmie i miłości ludzkości, które myśl polska podaje i głosi. Walcząc niezłomnie przeciw potężnym mocom, które pochłonąć go usiłują o swe osobnikowe istnienie, naród polski walczy zarazem o wolność i sprawiedliwość, które są nie tylko dla niego, lecz dla całej

ludzkości ideami najwyższymi i skarbami najdrogocenniejszymi.

Wszechludzka tedy myśl mieści się w jego patryjotycznych pracach i wypływa z nich korzyść wszechludzka. Można go nazwać niezmordowanym heroldem, który krwawymi wargami ran swoich głęsi pośród ludzkości inne jeszcze hasło: „homo homini res sacra“!



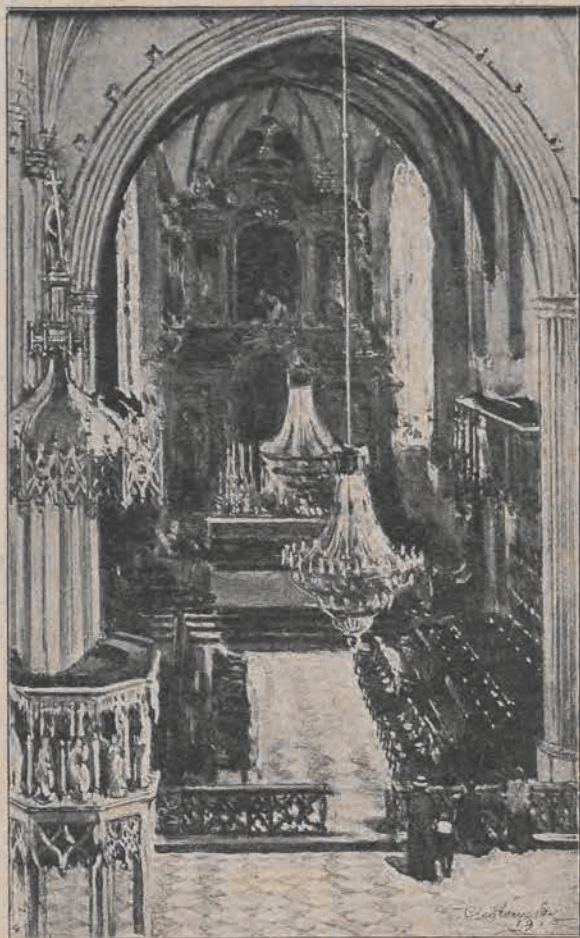
WACŁAW GAŚSIOROWSKI.

7)

## WOJNA NARODÓW

powieść historyczna z epoki napoleońskiej.

Tu podporucznik targnął się z całej mocy, aby ująć fałszywemu zbawcy, — ale bosa stopy przywarły mu do lodowej powłoki, na której stał, i nie odpowiedziały nateżeniu lędźwi. Pan Tomasz syknął z bólu i zachwiał się. Ksiądz podtrzymał go i uniósł w ramionach...



Tadeusz Cieślowski.

Prezbiterjum w katedrze św. Jana.  
(Tow. Z. S. P.)



Tadeusz Rygiel.

(Tow. Z. S. P.)

Biust pani S.

Podporucznikowi w głowie się zamroczyło. Chwycił zgrabiałymi kłębami rąk za szyję księdza i możeby go był zadławił, gdyby nie to, że ten puścił z ramion pana Tomasza. Podporucznik padł bezwładny, otrząśnięty niby liszka. Ksiądz obocześnie porwał za sznur, opasujący mu sutannę, rozwinął i spętał ręce podporucznikowi. Poczem zarzucił go sobie na plecy i ruszył w bok, ku grzebieniowi świerków.

Panu Tomaszowi ostatek przytomności zakołował się. Czuł, że niesie go, dźwiga, aby go wydać na pastwę, aby godzinami marł, aby do nieskończoności konał... I widział już przed sobą tłuszcę szarą, brudną, która sunie doń a czai się, by zbyt gwałtownego ciosu nie zadawać, by życia nie wypłoszyć, by zachować je na ostatnią kroplę krwi...

Blask krwawy zamigotał tuż w oczach pana Tomasza... Kładą go tuż przy tym blasku potwornym. Jakiś drab ponury chylił się nad nim... Piec go będą ogniem! Ogniem! Głupi — głupi! — Lżejszej nie mogli wszak wymyśleć męki! — Ogień! — Nie widział go dawno, dawno tak blisko! Płonie tuż,

wyciąga swe języki, ogarnia, chłonie narzecie.

Błogie uczucie ciepła jęło przejmować wskroś pana Tomasza, krew w nim grać, skostniałe członki budzić się a przytomność wracająca ukazywać mu coraz wyraźniej dwie pochylone nad nim postacie.

Pierwsza z nich w wielkiej baraniej czapie nie zastanowiła podporucznika. Był to jeden z tych niechybnie, przed którym uchodził, który go ścigał wówczas, gdy z obórki się wyrwał lub może jeden z tych, co owych maruderów wówczas... Druga atoli uderzyła niemile. Chuda, wyniosła, obleczone w ciemną grobową, niknącą prawie w mrokach, przypominała mu proboszcza...

Pana Tomasza dreszcz przeszedł. Ratuje go, wracają życiu, nacierają śniegiem, — aby mu sroższe zadać cierpienia, aby mu raz jeszcze powtórzyć, że zbrojcem jest, przybłądą, że ci, dla których cierpiał, że ziemia rodzona ma dlań jeno kłatwę, jeno obelgę, jeno pałkę oprawcy.

Płyn ostry, piekący wypełnił mu usta. Pan Tomasz przelknął i zakrztusił się.

Butla znów do ust mu przyłgnęła.

— Pijcie jeszcze — rzekł cicho łagodny głos — pijcie, trzeba wam sił, zmocnienia trzeba!

Podporucznik spełnił w milczeniu rozkaz. Trzeźwość wracała mu. Leżał w jakiejś izbie kmiecej, rozświetlonej krwawym światłem ognia, buchającego na kamiennym palenisku. Był w mocy bąrczystego, siwego draba i jego snadź tu naczelnika — tego czarnego...

Czarny mówił doń coś — pan Tomasz nie zważał, nie chciał zważać. Lepiej nie słyszeć, lepiej nie rozumieć. Oczy zamknął i leżał bez ruchu.

Aż silne, żyłaste ręce ujęły go pod ramiona, dźwignęły i usadziły na słomie.

— Senność was zdejmuję! — ozwał się znów ten sam głos. — Nie dajcie się. W drogę wam trzeba, musicie w drogę!

— Szedłem przecież — mruknął ponuro pan Tomasz. — Czemużeście mnie zatrzymali.

— Desperacja cię uniosła, — wyrwał się na zgubę niechybną! — Szaleństwo, szaleństwo... Tak nie uchodzi, a nie, tak i nie uchodzi i grzech, grzech kusić złe... Przepij gorzalki. Michalisiuk, aby wam nogi przewiąże i maściami opatrzy!

Podporucznik milczał. Drab w baraniej czapie darł płótno na podłużne płaty.

— Tu zostawać nie możecie! Na świt spodziewamy się wojska. Oblawa całą okolicę zagarnie... Proboszcz dobrego pragnął...

Pan Tomasz zachnął się.

— Wiem, wiem, do Wilna mnie namawiał!! Co, możesz ty taki sam? Więc mnie zaniechaj!! — I pewnie, ksiądz jesteś! Wiadomo!

— Boga miej w sercu.

— Boga! — Cha-cha! — Bogiem nie przestraszysz!.. Zaprzańce jesteście, sprzedawczyki... wszyscy, wszyscy... i rakarze, kozackie sługi... Wam o Bogu mówić!

Głowa w baraniej czapie podniosła się, para jasnych oczu spojrzała surowo z pod siwych, nastroszonych brwi na pana Tomasza. Ten nie dał się tem zalterować i bluznął nowym potokiem obelg. Lecz ksiądz przerwał mu z mocą.

— Złość tobą miota, zaślepienie, własna niedola mroczy ci rozum! — Tak! — A wieszże, iż tu głód, głód dokoła, że gorączki połowę luda strawiły, że tu nie masz kobiety, którejby nie shańbiono, nie masz izby, którejby nie zrabowano! — I wiesz kto, kto się tych bezceństw dopuścił?!. A no, ci właśnie, których tu, wiosny ubiegłej witano, jako odkupicieli! I myślisz — nie wszyscy jednak, choć pod tak okrutnym gniosem pomsty, zapomnieli o tem, co winni ojczyźnie! — Nie wyrzekaj! — Proboszcz ma swoje osobliwe widzenie! — A przecież nie tyś tu pierwszy, którego przygarnięto! — Nie ostatniś jeszcze!

Pana Tomasza refleksja naszła, lecz słowa nie rzekł. Drab tymczasem uporał się z ułożeniem przewiązek i zabrał się do odziewania podporucznika. Więc w zgola dostatnie wystroił go chodaki i szarawary, kubrak z komiśnego sukna mu naciągnął, omotał i rzemieniem przepasał, torbę myśliwską przez ramię mu zawiesił, w oka mgnieniu na gajowego niby pana Tomasza wystrychnął. Zaczem jął czempredzej manatki jakoweś w podłużne kobiałki zbierać i rzemieniami je ściagać.

Ksiądz położył rękę na ramieniu podporucznika.

— Słuchaj jegomość! Michalisiuk doprowadzi cię pod Eigiergole, za Wilję, za Turzańskie lasy... Tam już czeka kilku takich, jak jegomość... na leśniczówce... Ruszysz dalej gromadą, na Biwile, do Wilków... W Wilkach szlachta drobna Jurewicz, Jodkiewicz, Downarowicz i Towgino-

wie. Do Towginów się opowiesz... Musisz ty, bo tamci ludzkiej nie znają mowy. Towginowie was już do Jurborga i na pruską wyprawia stronę.—Michalisiuk zna tu każdy kamień, — gdyby nawet zajęli was, — nie turbuj się, dobędzie cię, matecznikami przemknie... Słabyś jeszcze — ale nie masz innego ratunku...

Pan Tomasz tarł czoło a poglądał przed się osłupiałym wzrokiem.

— Za Jurborgiem znajdziesz francuskie pułki, — dodał ksiądz.

— Francuskie pułki? — powtórzył niepewnie podporucznik.

— Niezawodnie — stamtąd w każdym razie będzie ci najszadniej — bo główny pościg na Warszawę, na Łomżę napiera... Myślałem tamtych, których spotkasz pod Eigiergołą, zatrzymać, gdyś tu przywędrował — lecz nie było sposobu — wypatrzone ich! — Ledwie z życiem uszli. Była z nimi kobieta cudzoziemka... Choć pewno nie dotrwała — nieśli ją. Gdyby atoli, — Towginowie będą mogli przygarnąć. Niewiasta podejrzenia nie wzbudzi. Jeszcze słowo, — między porzuceniami przez tamtych gałganami, znalazłem ten zwitek papierów... Nie wiem, co to są za papiery, zgoła nieznanym pisane językiem, wyglądają jakby na listy. — Weź je — oddaj. Mogą stanowić dla którego jakąś wartość! To i wszystko!

Ksiądz urwał nagle i spojrzał na draba. Drab zarzucił sobie kobiałki na plecy i ujął za flintę.

— Więc w drogę! Z Bogiem zostawaj!

Pan Tomasz poruszył się, stuknął podanym mu dębczakiem i ozwał się cicho.

— Pozwólcie księżu a wy, wy... coście za jedni?

— Wikary — Towgin.

— Towgin! — bąknął podporucznik — a niby ten, on tu?..

— Michalisiuk, borowy... chłop, Litwin!..

Pan Tomasz na dźwięk wyrazu „Litwin“, wtulił głowę w ramiona, szurgnął chodakami i wyszedł z izby za Michalisiukiem.

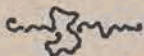
Wiew mroźny orzeźwił podporucznika i natchnął intencją, że przecież należałoby ozwać się jeszcze do wikarego, że coś rzec powinien. Lecz obocznie Michalisiuk skinął nań koszturem.

Pan Tomasz syknął przez zęby — „Litwin“ — i, nie oglądając się za siebie, ruszył za przewodnikiem.

Podporucznik czuł się dobrze. Owo ratownictwo pokrzepiło go, zmocniło tego. Kubrak i czapa na uszy nasunięta, chroniły szczelnie. Nogi namaszczone nie dokuczały.

Zgoła dzielny człek ów Towgin i poczciwy! Toć śnić się nie ważyłby przed chwilą o czemś podobnem. Idzie i ani czuje, że idzie! Do Jurborga! Do francuskich pikiet dotrzeć! A tam, tam już koniec męczarni, koniec nędzy. Niepolitycznie z wikarym się rozstał.

(d. e. n.)



## ZŁOŻ MI RĘKĘ NA CZOLE...

Złóż mi rękę na czole...

*jakieś prądy senne,*

*Jakieś fale ukojeń płyną z twojej dłoni  
I stroją blasków tęczą życiową Gehenne,  
I, zda się, niosą powiew łąkowych ustroni.*

Złóż mi rękę na czole...

*swarliwy gwar miasta*

*Nawet tutaj dobiega, choć głuchy... daleki..  
I w głowie obolałej do gromów urasta,  
Prażąc ogniem wśród lata pożarów i spieki.*

Złóż mi rękę na czole...

*chcę zgubić z pamięci*

*Wszystko, co w piersi młodej błysnęło nim...  
[zgasło.*

*Kiedym jeszcze nie wierzył, że losem wykleci  
Od kolebki już mają „stracenie“ za hasło!*

Złóż mi rękę na czole...

*ukój myśl w obłędzie,*

*Serce, w którym się pragnień kołaczą upiory,  
Niech mię cisza zaziemska powolnie oprzędzie,  
Niby zorze wieczorne — nadmorskie ugory.*

Złóż mi rękę na czole...

*jam przez długie lata*

*Nie zaznał, co to dłoni przyjaznej pieszczota,  
Więc niech wezmę jąmużnę u progów zaświata,  
Niech mię tam litość wiedzie — dobra gwiazda  
[złota.*

Złóż mi rękę na czole...

*za krwawicę boju,*

*Za szyderstwa bez skargi, za daremne trudy,  
O, daj mi jedną chwilę błogiego spokoju,  
O, daj jedną sekunde jasnej szczęścia... złudy!*

**Jadwiga Rzepecka.**



## Walc nocnych mgieł.



kna wielkiej sali, w której jadłem i piłem, wychodziły na plac przed *kurhauzem*. Koła, elipsy, łuki rozwarte, które na tej przestrzeni wykreslały usypane żwirem ulice raziły martwą, matową bladeścią. Zwykle wesole i błyszczące, osmutniały nagle i zszarzały, jakby nie mając dla kogo migotać zalotnie szklistymi kamylkami.

Na klombach kwiaty kulily się zbite, wytarmoszone, swej biedoty wstydzące się. Burza je przygniotła, piaskiem i błotem zamuliła — nikt im ręki pomocnej nie podał, do podźwignięcia się nie pomógł. Już były niepotrzebne.

Najdziwniej wyglądała daszkiem nakryta estrada dla orkiestry. Jesień ma swe własne wichrowe chóry; ma własny organ, na którym „czarne msze“ wygrywa; ma flety i klarnety, altówki i wiolonczele, waltornie i rogi szkockie, zele i tamtamy — ludzkich muzyk jej nie trzeba. Więc zasypała daszek altany stertą umarłych, nadgniłych liści; rozrzęsała sploty dzikiego wina, pnącego się po filarkach; tuż przy wejściu wyźłobiła i wodą nalala głęboką wyrwę, jakby wstępu do środka broniącą.

Estrada była trupem, który dopiero z początkiem przyszłego „sezonu“ miał wskresnąć.

Na krańcach placu, w piękne dni wiosny i lata, roztaczała swój blask najpiękniejsza tego miejsca ponęta: otchłań niebios, nad otchłanią morską wisząca. Teraz był w tem miejscu tylko mętny, szaro-żółty, nieprzezroczysty tuman. Na piękny widok zapuszczono brudną kurtynę. Nie było już komu pokazywać owych cudności.

Jadłem i piłem, aby ociążyć i ducha niesfornego okiełznać. Duch jest jak balon: potrzebuje balastu. Dopiero ze zgodnego połączenia pierwiastku ziemskiego z nadziemskim otrzymuje się tak pożądaną w życiu równowagę.

Bardzo lubię ludzi zrównoważonych, bardziej jeszcze zrównoważone talenty. Niemcy osobą Goethego dowiedli, że przy wła-



Kazimierz Lasocki.

(Tow. Z. S. P.)

Droga mazowiecka.

ściwej tresurze wytworzyć można nawet zrównoważonego gienjusza.

Nagle, wpatrzony w to, co działo się na placu (właściwie nie się tam, do tej chwili, nie działo) odsunąłem talerz, i rękę w kierunku okna wyciągając, zakrzyknąłem:

— Kelner!.. Tam... Ten człowiek?..

— Ach tak! — muzykant.

— Pod pachą... w pokrowcu czarnym?..

— Ach tak! — trąbka.

— Tam dalej... na tej samej ścieżce?..

— Ach tak! — drugi muzykant.

— W pokrowcu?..

— Ach tak! — skrzypce.

— Jeszcze dalej... przy słupie latarniowym?.. za klombem gieorgiń?.. przy wyjściu z lasu?..

— Ach tak! — sami muzykanci.

— Czyż grać będą?..

— Ach tak! — grać będą.

— Alboż sezon nie skończył się?..

— Ach tak! — nie skończył się. Dziś się kończy. Według kontraktu musieli grać wczoraj, muszą grać dziś. Jutro będą wolni.

— I nie to ich nie obchodzi, że słuchaczów nie mają?..

— Ach tak! — nie ich to nie obchodzi.

Dwie myśli przemknęły mi przez głowę: jedna, że pedantyzm bywa podwaliną wielkości pewnych państw, druga — że mi isć trzeba do grających.

W minutę później już byłem na placu.

Życie naogół jest złe, brzydkie i jałowe. Ale zdarzają się w niem chwile rozkoszne.

Dla mnie, należy do nich: brodzenie po zaspach suchych liści, którymi jesień potrząsa parki, ogrody, gościńce. Szelest i chrzęst potrącanej i kruszonej stopą roślinności napędza mi duszę cichą, miłą melancholją. Zwłaszcza, gdy blade słońce nieśmiało z poza drzew prześwieca, gdy w dali łkają zeicha skrzypce, lub skarży się wiolonczela... Czuję wówczas sieroctwo swe z innymi podzielane, i — lżej mi na sercu.

Muzykanci naprawdę altanę zapełnili; naprawdę do grania się biorą. Ich twarze i ruchy wyrażają powagę. Jest w ich obejściu się coś więcej, niż posłuszeństwo kontraktowi. Jest samopoczucie obowiązku i posłannictwa. Czy jest także miłość sztuki?

Cokolwiekby, chciałem być w tej chwili stokrotnie rozmnożonym, aby dać tym ludziom złudzenie pełnej posłuchalni. Bolesnie jest występować z talentem swym, choćby tylko odtwórczym, przed pustą salą. Doświadczyłem już i tego.

Z pod daszku, stertą zwiędłych liści obciążonego, wyrwały się nagle skrzydlate akordy marsza. Marsz chciał być rzeźki, wojowniczy, na kule i bagnety wiodący, ale, w pustce się rozpląnawszy, odrazu przygasł i osmętniał. Huczne, urywane tony brzmiały glucho i bolesciwie, niby dobijanie się nocą do bramy wielkiego, pustego zamczyska.

Potem była przerwa; po przerwie — jakieś mdłe operowe *potpourri*.

Kołując po zasypanej liśćmi, spiralnie wijącej się ścieżce, docierałem coraz bliżej

do altany i muzykantów. Przez czas dłuższy milczeli, jakby zniechęceni, zwątpiali i bezradni. Ja jeden nie byłem w stanie zastąpić im „publiczności“ — tego smoka tyśiącogłowego, któremu na ofiarę niesiemy mózgi, serca, niekiedy i życie.

Powstali z miejsc, skupili się — przez chwilę spór głośny zakłócał ich harmonję. Spór zeichnął, powrócili na miejsca, każdy za instrument swój ujął, i...

Nie wiem co mi się stało, alem na najbliższą ławkę rzucić się musiał, aby nie upaść. Coś duszę moją porwało i uniosło...

...Szły na mnie duchy moczarów — cały zastęp, cała kolumna duchów. Szły białe, drżące, rozchwiane, w długich, wlokących się za nimi szatach.

Księżyc prześwieca przez ich mleczne ciała. Stopy ich ledwie dotykają trawy. Ramiona tak mocno spojone, że się jedną wydają bryłą.

Na mokradłach, wątlemi źdźbłami porośłych, gdzie tylko lotna ważka utrzymać się zdoła, zatoczyły krąg ogromny, taneczny. Długo wirowały w powolnym, omdlewającym tempie. Potem krąg rozplotły; równym, wietrznym, powiewnym wydłużyły się hufcem. Teraz wprost na mnie idą a idą...

(d. c. n.)



## PACHNĄ MI MAŁWY...

*Pachną przed oknem mym malwy i mięta,  
kładąc na ścieżki postrzępione cienie —  
ciche do serca sphywa rozmodlenie  
na wieść, że o mnie ktoś jeszcze pamięta —*

*Woń swą upojną rozściela rezeda —  
idą powiewy po zroszonej trawie — —  
wieść mi przyniosły lecące żorawie,  
że mnie pamiętasz — wieść ta zginąć nie da —*

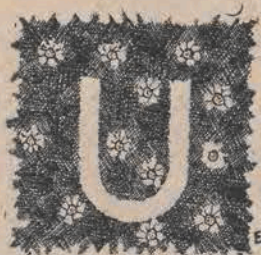
*Cicho wśród kwiatów padła w mym ogrodzie  
pomiędzy malwy i białe powoje,  
oddając tobie kwiaty już nie moje,  
co główki senne chylą o zachodzie —*

*Słońce u stóp mych ściele się w murawie —  
wśród kwiatów giną ścieżek wązkich skrety —  
pachną mi malwy — wonią duszą miętą —  
że mnie pamiętasz, dały znak żorawie — —*

Leon Chrzanowski.

## WSPOMNIENIE.

NOVELA.



rzządzona była ta siedziba wuja, pułkownika, rzekomo wygodnie i elegancko. A jednak, mimo precudne położenie dworku, na zacisznym skłonie rozsiadłego, mimo góry lesiste, bujną falą dokoła roztoczone, mimo stary ogród, który zdawał się snuć bezustanku senną a przesłodką ciszę, — w pokojach obco było, cudzo i nieswojo.

Jakiś kasarniany rygor, przymus, oschła uprzejmość, jakiś starokawalerski upór, czy chłód wyzierał tu z każdego miejsca.

Dawało się to uczuć już w przedsionku, wypokostowanym na biało, niby poczekalnia odwachu.

U proga strzyżona słomianka ze szczycinowatym, uprzejmie zjeżonym napisem: „Witajcie“. Obok drzwi okrągłe wieszaki wiedeńskie, nieznośne, jak w kawiarni. Poodał w drewnianych ramach mały, włochaty „tunel“ do wycierania trzewików od góry i z boku.

Na honorowej ścianie cała orgja pokreconych rogów jelenich. Wisiały tu ładownice, złota trąbka myśliwska, opleciona zielonym jedwabiem i kapelusz myśliwski wuja, zadarty, z piórkiem. Wreszcie na najmłodszych rogach wojskowa manierka z dawno wypitą wódką.

W kącie, przy piecu nudził się i sechł nabożnie olbrzymi alpejski kij, z którym złośliwcy, niby z oszczepem, radzili wujowi wybrać się na dzika.

Drewnianą podłogę „wypudrowaną“ rzeczonym piaseczkiem dzielił na pół, wązki, szary, cierpliwy chodnik. Tak wązki, żeśmy go raczej za nieuznany szal na szyję, niż za chodnik uważali.

Z bocznych ścian wykwiwały, dla zieleności nieposkromionej „szpinakami“ zwane, tłuste oleodruki, przedstawiające jakichś pyzaty, okromnie szkockich tyrolczyków.

Wszystko to możeby jeszcze uszło, gdyby nie okrągły, biały zegar ścienny, z kukłką. Nieskromny ten ptak wyskakiwał co kwadrans z zachrypniętych czeluści mechanizmu i zaferowanym krzykiem macił surową ciszę domostwa.



Tu, w polskich górach, tak tradycyjną obfitą, tak butną sztuką ludu sławnych, przedpokój wuja pułkownika, utrzymany w tonie, na poły jakiegoś podejrzanego Tyrolu, na poły w charakterze austriackiego odwachu—sprawiał wrażenie nader śmieszne.

Nie inaczej miała się rzecz z pokojami.

Salon był wiedeński, jadalnia staroniemiecka, jakie się spotyka w tych „na staro“ odnawianych, ratuszowych podziemiach w Niemczech.

Sypialny pokój wuja, na szczęście nie stylowy, miał pewien własny charakter. Była to właściwie izba porucznika kawalerji na służbie, czy podczas chwilowego postoju.

Tegoby wuj nie zmienił za nic na świecie.

Twarde, wazkie, niegościnnie obojętne łóżko angielskie; na prostym stole puzderko z przyborami toaletowymi, zawsze zamknięte, jakby ze względu na nagły nieprzewidziany wymarsz; w nogach za łóżkiem, na rozwidlonych stojakach siodło, przykryte śliczną, czarną derką, — oto mniejwięcej wszystko.

Jedynym dowodem względnej zniewieściałości wuja, była ogromna szafa dębowa, kryjąca w czarnem wnętrzu całe konstelacje gwiazd i guzików, którymi obszyte były we wszystkich możliwych kierunkach szanowne mundury pułkownika.

Poco my, młodzież, siostrzeńcy i bratankowie przyjeżdżaliśmy z miasta, odległego o pięć godzin koleją, do tego wiedeńskiego Tyrolu na Podhalu? Zwłaszcza, gdy pułkownik przestał już chodzić na polowania i na każdej wyprawie, nam obłudnie fatory przypisując, odpoczywał nieomal—że co sto kroków.

Zdaje się, że mimo wszystko, mimo okrutne morały, jakimi nam zatruwał poranki, mimo nielitościwą musztrę, jaką nas mordował przy lada sposobności, mimo sto razy opowiedziane anegdoty, które doprowadzały nas do bezsilnego śmiechu, — czuliśmy beznadziejną samotność tego człowieka.

Dawno już minęły te czasy, kiedyśmy, dziećmi będąc, witali wuja goręcej chyba, niż oswobodzeni wiedeńczycy — Sobieskiego. Kiedy młody, ogromny, sprężysty, głośny, kawalerski, z prawdziwymi ostrogami przy butach, w prawdziwych czerwonych spodniach, w prawdziwej kurtce ze złotymi guzikami, cały prawdziwy dragon, — dawał się nam przeglądać w guzikach czarującego munduru, kiedy pozwalał raz na godzinę

dotknąć swej zimnej srebrnej szabli, lub złotej gwiazdki na kołnierzu.

Dawaliśmy mu wtedy całe armje naszych cynowych żołnierzy pod dowództwo. Mógł być na czele tych sił, zwłaszcza dodawszy do tego starych papierowych żołnierzy, zdobyć jadalnię i sypialnię. Mógł być nawet może pokusić się o zdobycie kancelarji ojca.

Nie chciał. Gardził naszymi wojskami. Minęły lata.

Dowiedzieliśmy się później, że owszem marzył o wojnie prawdziwej, — jak był dragonem prawdziwym... Że całe życie trwał w ostrej, żywej, wojennej gotowości — na próżno.

W rezultacie, został takim samym jak nasi, cynowym żołnierzem.

Tak samo mu życie ubiegło w kasarni, czy w ujeżdżalni, jak naszym cynowym wojakom w pudełkach, na marszczonym papierze różowej podściółki.

Jedyny krwi rozlew, jaki mu losy nadały, to zabite, — nie szablą i nie szarżą, — a z poczciwej dubeltówki poczciwe zające, kilka rogaczów i dwa lisy, do których zresztą, podobno strzelał zupełnie niepotrzebnie, bo już je przedtem zdławiły jamniki.

Nie chcieliśmy się mścić. Żal nam było starego żołnierza cynowego. Czas rozluźnił siłę mięśni rycerskich, budowę przez całe lata ku wojnie zaprawianą nadgryzł, piękną, lecz bezużyteczną ruinę zostawiając.

Samotnie się czuł wuj nie tylko we własnym domu, w którym służba pod wodzą dawnego ordynansa kradła na umór. Z rodziną, z braćmi, z rówieśnikami dawnymi nie żył, — „bo się poženili, pomnożyli, rozplenili, jak piecuchy“. Sąsiedztw w pobliżu nie było, a z ludem okolicznym odrazu się poróżnił.

Chytrzy, dzielni i dumni górale nie z tonu nie chcieli spuścić wobec pana pułkownika.

Czy przy umowach „somsieckich“, czy przy poczciwym targu o parcele ta „hołota niesforna“ gadała z nim nie wstając z miejsca, witała się podaniem ręki, spluwała gdzie i jak wypadło. Zaś, by który z górali w obecności pułkownika przestał palić swą „obskurną“ fajkę, już od pierwszych dni pobytu okazało się wprost mrzonką.

(d. n.)

*Juljusz Kaden.*



Tadeusz Cieślowski.

(Tow. Z. S. P.)

Kanonja.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

8)

## STARE LWY.

POWIEŚĆ.

— Spałeś z pachótkami w izbie nieogrzewanej, różne czynności podle spełniając — teraz ligujesz za przepierzeniem w komnacie mojej i szaty jedwabne a kordybanowe buty mi czyścisz... Czy nie tak?

— Tak, panie — przepłynęło dławiaćco w krtani pazika.

— Usmolony przy piecach siadałeś, albo wynosiłeś pomyje z kuchen zamkowych; dziś niby kukła ustrojon, podczas biesiady za plecyma mojemu stoisz i dzbany srebrne z winem libo misy z jadłem smakowitem mi podajesz... Nie tak-li?

— Tak, panie!

— Podziękuj!..

Tu, ku ustom młodzieńca rękę do pocałowania wyciągnął.

Jakby kto perłami sypnął, tak dziwnie zadzwoniły zęby pazika, gdy pochylał się powoli, niosąc pocałunek wyciągniętej ręce pańskiej.

— Pocałował... w sygnet — mruknął wojewoda, podnosząc wzrok na księdza.

— Szlachecka krew być musi, szlachecka krew! dlatego do herbu zaraz przygląnął — tłumaczył poczciwy pleban ów pocałunek młodzieniaszka.

Na dany znak przez Włodka, pazik, cofając się ku progowi, wyszedł z komnaty.

Włodek zwrócił się do księdza:

— Wiesz, ojezaszku — rzekł — że, albo dam mu straż przy babieńcu, albo mu urząd jaki nowy wynajdę, by go spełniając, na oczy mi się nie pokazywał. Jakiś chłód wieje od niego, jakby bryła lodu przy mnie stawała; zauważyłem nawet, że jadło każde, podane mi przez niego, ostyga wnet i twardą się skorupą pokrywa. Przy babieńcu mu być a panien dworskich gorącość temperować.

— Ot, koncept! — ksiądz rzucił... Podniósłbyś waćpan tylko temperaturę babieńca i pożar wzniecił. W każdej pierzynie mógłbyś wtedy, nadzianego kaszą jędora upiec.

— A mi się widzi, że żadna białka nie pogarnęłaby się ku niemu i gęby mu swojej nie dała. Przymuszon zaś, pocałowałby, jak w mój sygnet.

— Nie byłoby musu, dobrodzieju! nie byłoby musu! — powtórzył ksiądz.

Ujął berwiono i rzucił na palenisko — to samo pan Włodek uczynił.

— Dawneć to już czasy — zaczął wojewoda, trącając puharkiem o puharek księdza — kiedy wyrwane z rąk cygańskich to chłopię mi dałeś, prosząc, bym je ucziwie wychował a do osobistych posług wziął. Przyjaciel mnie prosił a ksiądz. Odmówić byłoby nie politycznie; niejako też było księdzu na plebanji z dzieciakiem siadać... A może to twoje? — nagle spytał —

Ksiądz się rzucił, aż kryształowy puharek, który ku ustom niósł, z rąk mu wypadł i dzwoniąc, potoczył się po ziemi.

— Nie? — spytał wojewoda —

— Deus misericordia mea! — zawołał pleban. — Co waści strzeliło w łeb?..

— Nie, to nie!.. — mówił pan Włodek. — Ja wracam do rzeczy. Uczyniłem tedy, ja-

kość chciał—ale serca ku niemu nie mogłem nakłonić. Coś już z przyrodzenia — dzikiego a odpychającego w nim było. Prawda, że jaskółczych nie tykał gniazd, ni młodym świętom skrzydeł nie wykręcał; że nie potargał nigdy za uszy psa żadnego, ni za dziadem-żebrakiem kamieniem cisnął, ale go też nigdy nie uradowała zabawa ni cacko dane, ni do kwiatka ni do słońca rąk nie wyciągnął ni razu, na ból nieczuły, na radość nieczuły, że ci nie wiedział sam, com za stworzenie miał przed sobą. Nie lubilem go i patrzeć już nań nie mogłem; miałem uczucie, jakby zło jakie po kątach się snuło i wszędy rozszerzało cień a smutek. Do kordegardy więc go oddałem z mocnym nakazem, by mi się na oczy nie pokazywał. Wiem, że w piecach palił, udźce sarnie na rożnach obracał; że bez pomruku wszelkie posługi najcięższe spełniał; że gdy nań raz wrzątek, z umysłu czy niechcący, wylano, nie zaskomlił nawet, jeno łojem kozłowym się wysmarował, a gdy dziewczki z fraucymeru, litością tknięte, widząc go tak obolałego, jeły pytać: — „A co za zbój tak cię okaleczył?“ — „War“ — odpowiedział i już innego dźwięku nie wydał z siebie.

— Spodoba mi się — ksiądz mruknął —

— Spodoba? — rzucił Włodek —

— Przeskarżać nie chciał i może niewinnego winowajcę na srogi gniew ochmistrza narazić. No — ale się przekonałeś, dobrodzieju! przekonałeś do niego i on z spełnieniem serca podziękował ci za tę łaskę.

— Całując w sygnet — mruknął wojewoda.

Ksiądz Sroka pochylił się do kolan —

— Nie zrażaj się, dobrodzieju — rzekł. — W niebieskiej dusz odlewni są formy rozmaite, z których wychodzą dusze różne, czekające przeznaczenia swojego i wejścia w ciała. Nieszczęściem jest, gdy syn królewski urodzi się z łona niewolnicy; rozpie-ra się w nim majestat i szuka tronu, tymczasem, miasto berła i korony, los mu daje głaz pod głowę a do rąk rożen, na którym udźce baranie obraca.

— To tak do mojego palipiency pijesz? — zaśmiał się pan Włodek.

— Mówię, jako bywa, bo niezbadane są wyroki Boże, a wždy sam przyznasz, dobrodzieju, że nie pospolita dusza w pacholećciu tem siedzi. A fizys? zali nie daje nic do myślenia? Jużem tu zasłyszał, że dziewczki wszystkie Narcyzem go zwa a młodzieńce pozazdroszczą mu piękności apollinowej.

Tak ksiądz prawił, a ku młodzieńcowi kłonił serce wojewody, choć widno było, że nie bardzo poddającego się słuchacza miał. „Tak — niby tak!“ mruczał pod nosem, ale głową potrząsał, jakby swojemu własnemu: „tak!“ zaprzeczał. Wargi miał zaciśnięte, bruzdę na czole, a palce rąk obu na poręczach krzesła oparte, poruszały się nerwowo i jakiś nieakuratny werbel wybijały. Po chwili, gdy ksiądz umilkł i do ust kielich przytknął, pan wojewoda w ten sens się ozwał:

— Przyszedłeś, ojczulku, rozerwać mnie w samotności mojej i o tem to owem pogawędzić, a tymczasem ten smyk niemrawy prawie pół wieczora nam zajął. Dość o nim!.. Woli twojej uczyniłem zadość: wzięłem go do boku swojego i własną personę przy ubieraniu się i rozbieraniu macać pozwolełem. Niech-że się teraz na bacności ma i gębę do uśmiechu skrzywić raczy, a w sygnet nie całuje, bo dobroć dobrocią, a irytacja irytacją jest i ucho łask moich łatwo się urwać może.

— Poprawi się, poprawi — rzekł pleban — jeno niech dozna prawdziwej życzliwości waszej, bo dotąd barłogu, na którym sypiał i różna obracania nie zaliczam do onej.

— Prawda, syn królewski, z niewolnicy urodzon — rzucił Włodek.

— Wždy nie cygańskie dziecko, choć je w szatrze cygańskiej znalazłem...

— Królewic! królewic! — przerwał wojewoda. — Ale — tfu!.. znów o nim zaczynamy, jakby zaniejszego do rozmowy przedmiotu nie było.

Popił wina łyk duży i piękną, przetykaną gdzieniedzie niemi srebrnemi, brodę pogładził.

— To prawda, że drugie kury już pieją — zaczął ksiądz, stawiając swój kielich na stole — a my wciąż o jednej materji gawędzimy. Jakże się miewa małżonka wasza, szlachetna latorośl Miechowitów rodu.

Wojewoda westchnął —

— To źle, to gorzej — rzekł — choć ją baby okurzają i nad nią szepcą co wieczór. Zda się, że po raz drugi wdowcem ostane i trzeba będzie o trzeciej małżonce pomyśleć.

— Zawczasem, zawczasem — poruszył się ksiądz pleban.

— Nie pożalował ten nigdy, kto z jutrem żył — rzekł na to wojewoda.

(d. c. n.)



## Czego uczą wybory w zaborze pruskim.

Wybory w Rzeszy niemieckiej zrobiły niespodziankę wszystkim stronnictwom świata, gdyż nikt nie podejrzewał, że tak szybko zróżowieje, uczerwieni się państwo bojaźni bożej i karności... automatycznej. We wszystkich pismach radykalnych zjawily się radosne, alarmujące telegramy i nieraz zapowiadano nową erę w życiu państwem niemieckim. Rozumie się, że te radości są przedczesne; rozumie się, że takie alarmy mają dużo fałszywych tonów w swoim ogólnym, podniecającym wrzasku, aczkolwiek są stanowczo przyjemniejsze od hakatystycznej, tępej bezczelności. Jak istotnie będzie wyglądała praca nowego parlamentu — pokaże przyszłość. Należy się jednak liczyć z ewentualnością, że zmieniać w parlamentarny sposób można tylko te przejawy życia, które w rozwoju dziejowym już są obecne i kształtują, tworzą historyczne zjawiska. Samą zaś rewolucyjną gadaniną nie zrobić nie można. Każda wola społeczna musi mieć swoje uzasadnienie w życiu, musi być ścisłym ekwiwalentem warunków tendencji dziejowych. Otóż i tu należy wziąć pod uwagę to założenie, jeżeli chcemy z trzeźwością wyrokować o możliwościach politycznych i społecznych w państwie niemieckim.

Bezwątpienia, że zwycięstwo socjaldemokracji świadczy o niezadowoleniu wśród obywateli niemieckich. I — tylko o niezadowoleniu. Inne ogólne wnioski są przedczesne. Polityka i gospodarka ekonomiczna kraju przeszłego parlamentu widocznie wzbudziła niechęć w masach, co jest dla rządu wskazówką, że cła ochronne, że podatki na mięso, cukier i wogóle środki utrzymania, nie budzą... patryjotycznych niemieckich uczuć, ale je rugują.

W poznańskim natomiast nie jest dziwnem wcale, że podatki też nie wpłynęły na umocnienie przywiązania do opinii narodowej. Koło polskie stale głosowało, wraz z obszarnikami, za podatkami, a więc te głosowania musiały osłabić powagę dla reprezentacji narodowej. Skwapliwie bowiem korzystali przeciwnicy z każdej słabostki, by

demaskować polskich posłów. Korzystali socjaliści polscy i niemieccy i wykazywali, że posłowie od ludu poznańskiego i szląskiego idą wbrew interesom ludu, który ich wybrał. Od lat dwóch przytem na łamach pism poznańskich i szląskich toczyła się zjadliwa napastliwa waśń między redaktorami różnych pism, polujących na prenumeratorów. Wydziwiano też kalumnje i obelgi, obrzucano notorycznymi docinkami i drwinami, a nawet włóczono się po sądach niemieckich i tam dochodzono czei swojej. Społeczeństwo polskie było nieprzygotowane przed ostatnimi wyborami, a właściwie było zdeorganizowane, gdyż osłabły więzy karności i solidarności, stale podkopywane przez lat kilka. Waśń zebrała plon, który sama przygotowała. Im głośniej rozbrzmiewało zwycięstwo demokracji niemieckiej, tem ciszej stawało się przy urnach wyborczych polskich. Społeczeństwo przyciechło, by zastanowić się na chwilę, by zrzucić z siebie kłótni kajdany, w które okuła ich zła wola krzykaczy i demagogów. 25,000 głosów polskich, oddających się dobrowolnie na łaskę i niełaskę Niemców — toż to niełada klęska! Ciągłe zapewniają nas, nasi współbracia z zaboru pruskiego, że się nie dają, że świadomość narodowa prześląkla w masy tak potężnie, iż trwogi o przyszłość mieć nie powinniśmy. Aż oto wiadomość okropna! Przeczy ona w zupełności wszystkim optymistycznym zapewnieniom, a nawet podaje w wątpliwosc całą ową świadomość narodową. Widocznie pan Napieralski, bijący 100,000 egzemplarzy dziennie swojego „Katolika“, nie wypełnia w zupełności swoich zadań narodowych. Widocznie cała poznańska prasa nie spełnia swojej uświadamiającej roli. Jest bowiem oczywiste, że skoro renegat, hakatysta Ks. Głowatzky zwyciężył w wyborach ks. Wajdę, to muszą być w tem poważne symptomy nieporozumienia w opiniach, jakie kształtują się w zaborze pruskim. Ks. Głowatzky znany jest przecież ze swojego krzykackiego hakatyzmu, ze swojego wyzywającego cynizmu i szyderstwa, jakimi stale raczy polaków. Wyśmiewa on nasze tra-

dycje narodowe, drwi z naszej przeszłości historycznej. Gdy taki człowiek — zwyciężył w wyborach, musi to być jakiś potworny wypadek, jakaś nie do darowania lekkomyślność!

Refleksje takie muszą się zrodzić samorzutnie. Cała polska prasa zabrała i zabiera w tej sprawie głos; nadchodzą wiadomości o uchwałach zgody między stronnictwami i redaktorami, przyznają się oni publicznie, że zawinili. Czy jednak taka zgoda po klęsce będzie trwała? Czy będą umieli powetować straty, jeżeli zgodnie pracować poczną? Pytanie te stawiać należy, bo, zdaje się, że przyczyna klęsk jest głębszą, niż samo waśnienie, niż spór, w jakim żyło społeczeństwo poznańskie. I dla tego należy przedewszystkiem odszukać przyczynę tych sporów, należy, we właściwym świetle przedstawić zatargi i sprzeczki, a nawet zanalizować samą opinię, świadomość Polaków zaboru pruskiego.

W poznańskim pojęcie polskości i katolicyzmu — zlewają się z sobą w całość organiczną. Najwięksi bowiem działacze poznańscy, to prawie wyłącznie księża. Z rąk księży lud poznański otrzymał wzorową organizację ekonomiczną, a poza tem tradycje też waży wiele na psychologii duszy polskiej. Stąd w opinii poznańczyka nieraz ksiądz, choć Niemiec, więcej znaczy, niż Polak-obywatel. Zdaje się, że co do wyboru Głowatzkyego — tylko z tego punktu można mówić. Inaczej przecież wybór ten jest niezrozumiały. Otóż z tą ewentualnością należy się liczyć poważnie na przyszłość.

A teraz — o przyczynach zatargów między polskimi stronnictwami i o niepowodzeniach wśród ludu pracującego. Należy usunąć konserwatywny blok w sprawach podatkowo-spożywczych, a natychmiast zginie agitacyjny materiał, którym podburzają lud przeciw polityce koła. Koło polskie, jako przedstawicielstwo ludowe i demokratyczne en blok nie powinno, nie może głosować wraz z obszarnictwem niemieckim. Sprzeciwia się to założeniom demokracji, nakłada hacracz podatkowy na biedne klasy, a nie przyczynia się zupełnie do żadnej racji stanu. Trze-



Scena z „Dziadów”.

W więzieniu.

ba też skończyć dyskusje, jakie się toczą na łamach pism poznańskich, które właściwie są obelżywymi enuncjacjami.

Gdy w przyszłości kierownicy polityki i świadomości polskiej zechcą uwzględnić w swojej działalności te żądania, to możemy się spodziewać, że bolesne nieporozumienia w rodzaju Głowatzkich już nigdy się nie powtórzą. Dla nas zaś wszystkich płynie stąd bardzo poważna nauka. Klęska poznańczyków nie powinna przejść dla galicjan i królewaków jako sprawa obojętna. Z wydarzeń takich należy czerpać mądrość polityczną i doświadczenie, którym bronić się musimy wszyscy. Nie układają się przecież u nas stosunki społeczne w arkadyjski sposób, nie jest też krainą sielanek Galicja. Szczególniej Galicja, gdzie obstrukcje rusińskie wiele nastrożają do myślenia, wiele do zrozumienia całokształtu stosunków.

Uczą więc nas te wybory w zaborze pruskim przedewszystkiem solidarności i zgody. Uczą nas, że tylko przez szczerą demokrację możemy zrealizować cele nasze ogólne. Uczą nas, że tylko polskość powinna się stać podłożem wszystkich dążeń ogólnonarodowych.

Niech ta klęska, jaką ponieśliśmy w poznańskim, nie prze-

minie bez echa trwałego! Niech zapisze się alarmującymi zgłoskami w sumieniu naszym narodowym.

E. Czekalski.

### „Dziady” — Teatr.

„Wesele” Wyspiańskiego otworzyło teatr Zjednoczony. Na literackim poziomie „Wesela” usiłuje dyrekcja utrzymać repertuar swego teatru, a więc po „Chlubie naszego miasta”, dała mickiewiczowskie „Dziady”. Znow przeżyliśmy wieczór wielkiej, natchnionej poezji, co czerpie swoje wzloty z piersi ducha narodu. Znow zamajaczyła przed nami krwawa wizja, co boleje za miliony i za miliony tworzy „arkę przymierza” między starymi i nowymi laty. „Dziady” bowiem stały się dla nas arką wspomnień bolesnych i koszmarów dręczących. Może nigdy poezja polska nie wzniosła się na takie szczyty, jak wtedy, gdy właśnie rzuciła na ekran naszych wyobraźni dramat polski narodowy. Był to wysiłek równy chyba wewnętrznym zapasom Michała-Anioła, równy legiendarnej męce Prometeusza.

Mickiewicz przez swoją „improwizację” napisał bezprzykładną stronicę w księdze dziejów ogólnoludzkich. Nikt bowiem nigdy nie ważył się na taki sza-

lony rozpęd woli twórczej, nikt nigdy nie umiał w piersi swojej skupić łez, cierpienie i nadziei całego narodu, jak to uczynił wieszcz nasz genialny.

Cały dramat Gustawa, który stopniowo zamienia się w Konrada — toż to jakgdyby przemiana całego pokolenia, które wtedy z Gustawów stawało się rzecznikami sprawy podchorążych. Ucichły wszystkie osobiste bóle, stłumiły się wszystkie skargi, powstawał szalony łopot wyzwolenieczych skrzydeł, co, jak gołębicą promiennych nadziei, zawisł nad całym społeczeństwem. I poszły hufce rycerne, i poszły na krwawe grochowskie pola.

Mickiewicz zawsze będzie pieśniarzem dusz, co Konradowe snią tęsknoty, będzie zawsze ogrzewał młode, płomienne serca i koł tych, co siły swe mierzą na zamiary... Jego gwiazda prowadzić będzie przez całą historję i nigdy nie zamrą w świadomości narodowej — struny, które on władną swą ręką naniżał.

W teatrze Zjednoczonym wiele kolosalnych miejsc z „Dziadów” musiano pominąć. A jednak i ta amputowana wizja Mickiewicza owłada sercami słuchaczy. Z rosnącą uwagą śledzi widz tragedję Gustawa i przypomina opuszczone kartki jego dziejów. Niema bowiem polaka, któryby nie znał, nie wczuwał

się w te stronicie. Jeżeli są jeszcze tacy, co nie czytali, nie wsłuchiwali się w rytm serca Gustawowego, to jestto dla nich hańbą, policzkiem wymierzonym przez własny wstyd.

Reżyserja teatru Zjednoczonego, wystawiając „Dziady“, musiała pokonać niebywale trudności. Scena przecież w tym teatrze jest bardzo mała, płytka, a jednak udało się p. Orlińskiemu wszystkie te szkopy szczęśliwie ominąć. Nie była to wystawa teatru Reinharda, ale znać chęci, znać było pietyzm i pragnienie wywiązania się z trudności z szacunkiem dla tradycji mickiewiczowskich, czego niestety nie można powiedzieć o innych teatrach, które zwykle liczą na szczęśliwy przypadek, na—traf.

Doskonale wypadła scena na cmentarzu, scena „Dziadów“, scena w mieszkaniu księdza. Szczególnie zasługuje na wyróżnienie ta ostatnia scena. Grał bowiem Zelwerowicz z taką prostotą, dał tak wspaniały typ księdza, że zapomniało się o błędach p. Rychłowskiego, który tworzył Gustawa-Konrada. Jestto wprawdzie rola przechodząca siły ludzkie, lecz należało stanowczo więcej włożyć pracy, by utrzymać ją na odpowiednim poziomie. Raziła bowiem miotająca się, bezcelowo szarpająca interpretacja „improwizacji“ a cały szereg zdań zamie-



Marja Wąsowska-Rüdigerowa  
wybitna pianistka.



Grzegorz Fitelberg — Karol Szymanowski — Artur Rubinstein.  
(Tryumfy muzyczne „Młodej Polski“ za granicą).

rał w gardle. Reszta ról znalazła wykonawców, którzy wyszli z zadań powierzonych z tryumfem. Dobrym mnichem był Orliński; „Dzieńdzic“ Tatarkiewicza wywołał uczucie szczerzej, dramatycznej grozy. (C)

## Z MUZYKI.

Warszawskie Towarz. Muzyczne wystąpiło w ubiegłym tygodniu z własnym koncertem symfonicznym, na którego całość złożyły się popisy profesorów szkoły muzycznej przy temże Towarzystwie p. p. Wąsowskiej-Rüdigerowej, Konopaska i Michałowicza.

Orkiestrą dyrygował prof. F. Konopasek, ze zwykłym spokojem i umiarkowaniem prowadząc świetnie zorganizowany zespół Warsz. Orkiestry Symfonicznej. Orkiestra na początek odtworzyła piękny poemat symfoniczny Karłowicza „Stanisław i Anna Oświecimowie“. Kompozycję osnuł Karłowicz na miłości niezwyklej, którą zapłonęło względem siebie rodzeństwo, Stanisław i Anna Oświecimowie. Brat, po długim niewidzeniu, zapragnął poślubić rodzoną siostrę, na co uzyskano, po usilnych staraniach, zezwolenie papieża. Powróciwszy z Rzymu z upragnioną dyspensą, Stanisław nie zastał już siostry, która podczas jego nieobecności umarła. Nieszczęśliwy zmarł wkrótce po ukochanej—ze zmartwienia i tęsknoty. W kapliczce w Krośnie spoczywają zwłoki kochającej się pary.

Poemat, odtworzony ze zrozumieniem, zyskał szczerzy pochlask słuchaczy.

Popis prof. M. Michałowicza mógłby wypaść udatnie, żeby nie trema, której nie udało się koncertantowi opanować. Zdawałoby się, że może silna wola zdolna jest ująć w hamulce tę prześladowczynię artystów... lecz nie—ludzie o spiżowej woli niezdolni są nieraz zapanować nad tym lękiem przed i podczas popisu publicznego. Są artyści, którzy codziennie mają trema, lecz u nich trema objawia się zazwyczaj przed występem, trema zaś podczas występu—prześladuje artystów rzadko popisujących się. Michałowicz, świetny profesor, przychylając się do usilnych życzeń, uległ — i wystąpił z koncertem skrzypcowym. Piękna jednak kompozycja Beethowena wyszła blado, brakło głębokości tonu, znacznie lepiej wyszła serenada Czajkowskiego.

Sukcesem był popis fortepianowy prof. Marji Wąsowskiej-Rüdigerowej. Sympatyczna nasza wirtuozka, ze zwykłą sumiennością, zrozumieniem i uczuciem, czyniąc zadość wszystkim warunkom artystycznym, odegrała utwory Paderewskiego, Chopina i Liszta i na bis obdarzyła nas jeszcze naddatkami. Nadmienić należy, że p. Wąsowska-Rüdigerowa nie goni za laurami za granicą. Ukochała sztukę i ukochała swój kraj i tu u nas i z nami dzieli się bogactwem swego talentu.

Żle jest, gdy artysta nie da się poznać w kraju, a już pra-

gnie laurów zagranicą. Żle jest gdy sukces u obcych miłszy mu niż uznanie swoich. Tego przecież nie można powiedzieć o Karolu Szymanowskim, Grzegorz Fitelbergu i Arturze Rubinsteinie, którzy, zanim udali się w pełną sukcesów podróż artystyczną zagranicę, już w kraju poprzednio zdobyli uznanie, dając się poznać współrodakom.

Obecne turnée artystyczne, które śmiało nazwać można pochodem tryumfalnym młodych naszych artystów, należy im tylko policzyć za zasługę, dają bowiem znać zachodowi o naszej wysokiej kulturze artystycznej, to też dzięki im nie obcą jest teraz krytyce tamtejszej twórczość muzyczna „Młodej Polski.”

Fitelberg jako kapelmistrz, Szymanowski jako kompozytor i Rubinstein jako pianista-wirtuoz, mają już dziś ustaloną opinię nie tylko u nas lecz i wśród ognisk zachodnio-europejskiej kultury.

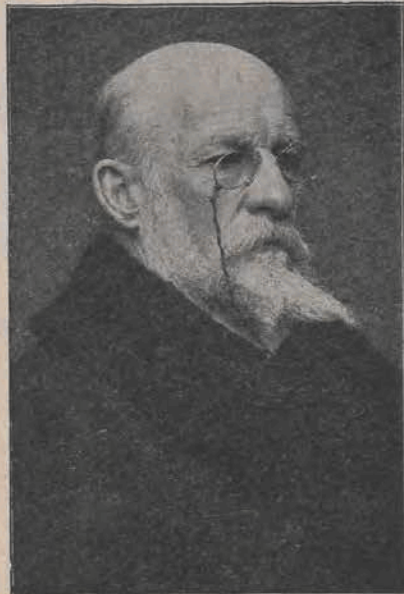
Takich więcej! Dawajmy znać że żyjemy! Z.

## ZE SZTUKI.

(Zbiorowe wystawy w Tow. Zachęty Sztuk Pięknych).

Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych zaznaczyło się, zwłaszcza w ostatnich latach, niezwykłą żywotnością i energią.

Zajmujące wystawy są powszechną atrakcją nie tylko dla ogółu przeciętnej publiczności,



TEODOR RYGIER.

ści, lecz i dla artystycznie wyrobionych jednostek, pragnących głębiej poznać indywidualność danego malarza lub badać prądy i nowe kierunki na niwie naszego artystycznego dorobku.

Indywidualność najlepiej nam odsłaniają t. zw. wystawy zbiorowe, gdzie większa ilość zebranych dzieł jednego wystawcy, daje sylwetę o zdecydowanych konturach, sylwetę wyraźną twórczości danej organizacji artystycznej.

Kierunek panujący w danym czasie w sztuce, lepiej wyczuwamy z szeregu zbiorowych wystaw, niż z jednej wystawy ogólnej, gdzie nieodpowiednie nieraz zgrupowanie dzieł kilkudziesięciu autorów, chaotycznością swoją może spowodować również chaotyczność sądów u osób często o większej nawet niż średniej kulturze artystycznej. Odpowiednie grupowanie wystaw zbiorowych, odpowiednia kolejność następujących



Bolesław Buyko.

takichże wystaw, kolejność, któryby w harmonijnym związku pozostawała z całokształtem — oto najważniejsze zadanie wystawy.

Nie chciałbym żeby wspomnianą „harmonijność” komentował ktoś jako zbliżenie szkół, czy kierunków, jako może pewną monotonię lub jednakowość wystaw, nie — w kontrastach nawet będzie harmonijność, w wystawach wręcz inne kierunki ilustrujących. Harmonijność w stosunku do wystaw, należy rozumieć jako oddanie w całym szeregu tychże, również szeregu indywidualności, składających się na jedną zbiorową duszę naszych dążeń i ideałów, duszę — w której każda taka twórczość miałaby swoje właściwe zadanie do spełnienia, swój cel — mądrością i przeznaczeniem nakreślony, cel świadomy lub odczuwalny.

Mimo największych i najusilniejszych starań i chęci, nie



KAZIMIERZ LASOCKI.

zawsze udawało się T-wu Zachęty organizować wystawy podług szeroko zamierzonych planów i projektów. Cel ten osiągnano łatwiej przy zbiorowych wystawach prac danego artysty, wystawy ogólne jednak uwidoczniały wiele nierówności w doborze dzieł wystawianych. Lecz — bo i wybór trudny... i nie dziw, że wśród talentów średniej miary nie znajdowało się dużo obrazów o więcej niż przeciętnej wartości artystycznej, ale i talenty potężne zdobywały się niekiedy najwyżej na miernotę. Mistrz z bożej łaski nadsyłali płótna bodaj że dla od czepnego! i nie oderwany to wypadek; przypomnijcie sobie, czy nie stawaliście z prawdziwym rozczarowaniem przed niejednym wysoce firmowym obra-



TADEUSZ CIEŚLEWSKI.

zem? prawda, że dziwiliście się „puszczeniu” obrazu przez mistrza a naiwny mecenas sztu-

ki kupował za bająnskie sumy ową miernotę, gdy swymi tysiącami iluż młodym talentom mógłby dopomódz. A no, sugestja podpisu to czynnik najpotężniejszy w pozyskiwaniu snobów i kabotynów.

Otwarte w dniu 1 b. m. zbiorowe wystawy prac Teodora Rygięra, Kazimierza Lasockiego, Tadeusza Cieślęwskiego i Bolesława Buyki, należy zaliczyć do udatniejszych z szeregu wystaw lat ostatnich.

Znakomity rzeźbiarz - jubilat oraz trzej młodszy wystawcy, coraz to szersze kręgi zataczający siłą swych talentów, wystąpili z szeregiem dzieł, składającym się na imponującą całość, która zdobi dziś cztery sale w pałacu sztuki.

Rys krytyczny o każdym z czterech wspomnianych artystów-wystawców odkładamy do następnego numeru. (a. n.)

### Jubileusz arcybiskupa Teodorowicza.

Patryjota polski, mąż wielkich zalet, ks. arcybiskup Teodorowicz, obchodzi 25 rocznicę swego kapłaństwa, a choć nie pragnął głośnych uroczystości, nie mogło to jednak powstrzymać społeczeństwa od złożenia mu hołdu w dniu tak niezwykłym. Zjawily się deputacje w pałacu arcybiskupim a z całej Polski nadesłano mnóstwo listów i telegramów z gorącymi pozdrowieniami.



Ks. arcybiskup Teodorowicz  
kapłan-jubilat

Ks. Arcybiskup poza wyjątkowymi zaletami charakteru, zasłynął również jako jeden z najznakomitszych kaznodziejów doby ostatniej i wybitny pisarz filozoficzno-religijny. Podkreślić w końcu należy, że ks. arcybi-

skup zawsze trzymał czującą dłoń na pulsie naszego społeczeństwa.

Z 25-leciem kapłaństwa ks. Teodorowicza, łączy się również dziesięciolecie jego intronizacji na lwowskiej katedrze ormiańskiej.

I my również hołd na tem miejscu składamy.

### Jubileusz Wacława Gasztowta.

Profesor Wacław Gasztowt dnia 28 stycznia r. b. obchodził jubileusz pięćdziesięcioletniej pracy na niwie literackiej. Jemu zawdzięczamy, że polscy poeci



Wacław Gasztowt.  
Złote gody z literaturą.

romantyczni zostali przełożeni na język francuski, co wpłynęło bezwątpienia na rozszerzenie się zainteresowań naszą literaturą i naszymi dziejami. W Paryżu pr. Wacław Gasztowt jest człowiekiem bardzo popularnym. Każdy z młodzieży, przyjeżdżającej tu na studia, znajdzie w nim życzliwego przyjaciela. A wielu też znalazło w nim oddanego opiekuna, wielu pomógł on materialnie i zabezpieczył przed widmem nędzy!

Profesor Gasztowt redaguje „Buletin Polonais“, wygłasza odczyty o literaturze polskiej, informuje francuską opinię o kwestjach polskich. Ilość prac tego pracowitego życia jest nieprzeliczona. Wszystko spoczywa w artykułach, studjach, przekładach, i pociąga zawsze sumiennością i rzeczowością w opracowaniu. Profesor Gasztowt urodził się we Francji. Z pochodzenia jest Polakiem i nie sprzeciwiał się nigdy swojej ojczyźnie. Uczył się w sławnej szkole Batignolskiej. Władza pol-

szczyzną tak doskonale, jak i francuszczyzną, choć uczył się języka swoich ojców tylko we Francji. Ostatnimi czasy zjawily się przekłady z Sienkiewicza, Weyssenhoffa, pióra profesora Gasztowta.

Jubilatowi szlemy w dzień złotych zasług z literaturą, najszersze życzenia i słowa głębokiego uznania oraz składamy hołd za wytrwałą pracę nad budzeniem opinii i sumień wśród obywateli francuskich.

### Odczyt Howorki.

Miły gość bawił w Warszawie. Literat czeski, Fr. Howorka,



Franciszek Howorka  
czeski gość w Warszawie.

przyjechał uściśnić przyjazne dłonie swych pobratymców i zapoznać ich z życiem i działalnością wielkiego czeskiego patrijoty Palackye'go.

To też słuchaliśmy odczytu Howorki ze skupieniem, gdy mówił o odrodzeniu się narodu czeskiego przy tytanicznej pracy i energii Palackye'go.

Wyzwolenie się narodu z opasujących go więzów germanizacji jest chyba najjaśniejszą gwiazdą wśród niezwykle szerokiego horyzontu działalności tego męża a równorzędnie do epokowych czynów zaliczyć należy sformułowanie narodowego, autonomicznego programu czeskiego z równouprawnieniem ludności oraz napisanie pomnikowego dzieła p. t. „Dzieje narodu Czeskiego.“ (Tom I wyszedł 1848, ostatni w 1876).

Odczyt Howorki ma szczególne znaczenie dla nas: poucza, że naród, niezależnie od warunków w których się znajduje, przy pracy i energii może osiągnąć tak niezwykle zdobycze



kulturalne, których najbardziej piętrzące się przeciwności nie będą w stanie zniweczyć.

A po klęsce czechów pod Białą Górą zdawało się już, że kultura obca naród ten opanuje.

Za odczyt gorąco dziękowano gościowi-prelegentowi.

## Stanisław Fiszer.

1770 — 1812.

Wielkopolanin, syn pułkownika artylerji koronnej — Fiszer (rodzina niemiecka spolszczona) z regimentu pieszego Gorzeńskiego, dostał się do brygady



Generał Stanisław Fiszer.

(W setną rocznicę zgonu na polu chwały).

generał-majora Kościuszki, który zaszczycał go swą przyjaźnią. Pod Polonnem i Dubienką dosłużył się porucznikostwa i medału. Wzięty pod Maciejowicami do niewoli razem z Kościuszką — przewieziony do Petersburga — przez Pawła I uwolniony z więzienia, wrócił w Sieradzkie i w spółce z Madalińskim trzymał skromną dzierżawę. Już jako szef bataljonu naddunajskiej legji (pod Kniaziewiczem) wzięty do niewoli do Königsgrätz 1801 roku, został uwolniony dzięki wstawiennictwu Morreau i jako szef brygady i dowódca piechoty legji, znalazł się w Liworno na ziemi włoskiej. Ogromnie ambitny, niemal umierając z głodu na obczyźnie, Fiszer nie chciał przyjąć 100 talarów, mając zamiar pieniądze te przeznaczyć na cel dobroczynny. Uległ jednak, ale rozdzielił je między towarzyszy niedoli. W stworzonej legji wiel-

kopolskiej Dąbrowskiego objął dowództwo brygady. Odebrałszy prusakom Gdańsk, po zorganizowaniu armji Księstwa Warszawskiego, mianowany generałem przez Józefa ks. Poniatowskiego, powołany został na naczelnika sztabu głównego. Raniony pod Raszynem (1809), zaś pod Pniewem dowodząc w zastępstwie księcia Józefa w roku 1812, jako szef sztabu księcia Józefa Poniatowskiego, przy odroczcie z Moskwy raniony kulą działową w potyczce z Kutuzowem — na miejscu skonał.

W życiu rodzinnem nie znalazł szczęścia. Drugi raz był żonaty z panią starościaną Kwilecką.

Szlachetna postać Fiszera przez losy kraju stawiana obok Kościuszki, Kniaziewicza, Dąbrowskiego, ks. Józefa Poniatowskiego — pozostała w cieniu.

100 lat upływa, jak niedoceniony wielki mąż legł na polu chwały.

J. W.

## Ś. p. Ludwik Kurcusz.

Znany w szerokich kołach naszego miasta, inżynier Ludwik Kurcusz, zmarł 31 stycznia r.b. Urodzony w roku 1855, ś. p. L. Kurcusz otrzymał wykształcenie średnie w gimnazjum łomżyńskim, potem w r. 1878 ukończył instytut komunikacji w Petersburgu. Od szeregu lat zajmował w Warszawie stanowisko



Ś. p. Ludwik Kurcusz

wybitny inżynier, prezes zakładu w Nałęczowie.

naczelnika trzeciego dystansu na Wiśle. Jako prezes rady zarzą-

dzającej zakładu leczniczego w Nałęczowie, gorliwie i z zapałem pracował nad podniesieniem tej krajowej instytucji kuracyjnej.

Ś. p. L. Kurcusz znany był z niezwykłej żywotności umysłu i zacności charakteru. Zalety towarzyskie łączył z gorącymi uczuciami dobrego obywatela kraju i dlatego też śmierć jego wywołała w szerokich kołach żal i smutek.

## Jubileusz rysownika.

Ołówek to broń nieraz nawet skuteczniejsza niż pióro. Jakże



Ludwik Nawojewski.  
(25-lecie rysownika).

się ołówka boją rzesze tych, którzy tam mają coś na sumieniu... albo którzy jakimiś tam głupstwami... ale co tu gadać, wiadomo, że ołówek jest bronią znakomitą w humorystyce a bronią tą świetnie włada, niby szermierz przedni, p. Ludwik Nawojewski, obchodzący właśnie 25-lecie pracy rysowniczej.

Nie zmęczył się dzielny uczeń Gersona, ba — z coraz to większą brawurą z coraz to większą sprawnością szermierza-rysownika, włada tem „zabójczem“ dla niektórych narzędziem. Nie mogą mu się oprzeć różni naczelnicy, prezesi, dyrektorzy, dygnitarze, redaktorzy, całe instytucje nawet, słowem nikt, kogo

## Szkoła Muzyczna

pod dykcją **Lucjana Marezewskiego** przy współdziałaniu pierwszorzędnych sił artystyczno-pedagogicznych.  
Zapisy codziennie. Wykłady od lutego.

Wspólna № 3. Telefon № 59-25.

należy za coś skrobnąć. Wszystkich dosięże ostrze Nawojowego ołówka. W samym już pseudonimie czy skrócie nazwiska „Nawoj,” tak się bowiem podpisuje na rysunkach, jest już pierwiastek wojowniczy „Na wojnę” „Woj”—jak kto chce.

Wciąż zasila jubilat-rysownik pisma satyryczne i humorystyczne a i w naszym kąciku humorystyczno-satyrycznym też nieraz widzieliście jego prace.

Składamy na tem miejscu życzenia najszczerze, a resztę dopowiemy na uczcie, zorganizowanej przez koło literatów i artystów, zajmujących się jubileuszem sympatycznego kolegi.

## Przegląd polityczny.

Zachowanie się posłów polskich podczas obrad nad wydzieleniem Chełmszczyzny, wywołuje w pewnych odłamach naszego społeczeństwa niezwykłe przyjęcie. Z tego powodu powstało nawet nieporozumienie między „realną” polityką „Słowa”, a ideową placówką obrony niezależnej godności narodowej — „Gońcem”. „Słowo” starało się dowieść, że kierownicy „Gońca” nie mają żadnego programu politycznego, każdy jednak doskonale wie o co chodzi w programowych dążnościach ludzi, którzy się grupują koło „Gońca”.

Z mów posłów parlamentarnych, najsympatyczniejszym dla nas było odezwanie się p. Maklakowa. Wytknął on z całą rzeczowością—błąd polityki na-



**Maklakow.**

Przeciwnik odłączenia Chełmszczyzny.

**Aleksiejew.**

Usilnie popiera projekt odłączenia.

ejonalistów i nawoływał do opamiętania. Poseł Parczewski, choć powtórzył znane już argumenty, tem nie mniej jednak mowa jego zasługuje na wyróżnienie. Jak zwykle rzucał obelgi p. Aleksiejew. Doskonale zakoń-



**Alfons Parczewski**  
poseł ziemi Lubelskiej.

czył swoje przemówienie poseł Świeżyński.

„Dla Rosji nie wszystko to jest korzystne, co jest szkodliwe dla Polaków. A kiedy jeden naród rujnuje dobro drugiego, niszczy owoce jego pracy, jednocześnie nie na tem nie zyskując, a nawet szkodząc sobie z punktu widzenia kultury i rozumu państwowego, to w tem należy widzieć przejawy instynktów niebezpiecznych dla życia narodowego i społecznego”.

Mniejszość dumy przyklasnęła p. Świeżyńskiemu. Większości—nawet prawdy pisane tajemną ręką na ścianach pałacu Taurydzkiego: Mane, Tekel, Phares—nie przekonają. Oni mają już gotowe zdanie, którego nie na razie nie zmieni. I dla tego p. Mienszykow uważa, że wynurzenia posła Kramarza (czecha) w sprawie chełmskiej są błędne. Argumenty Mienszykowa są nadzwyczaj śmieszne, więc je tu podaję: dla Słowian zachodnich niezbędna jest mocna Rosja, gdyż bez mocy rosyjskiej słowianstwo zatonię w morzu niemieckiem. A wobec tego, że oderwanie Chełmszczyzny sprzyja rozrostowi mocy rosyjskiej, więc zachodni Słowianie powinni się z tego kroku cieszyć, nie zaś pouczać polityków-rosjan. (!?)

Pisma kresowe upominają Polaków, by się zrzeczyli w celu dostarczania materiałów dla pracy posłów w dumie państwowej. Takie zrzeczenie byłoby nadzwyczaj

pożądane, gdyż dałoby w ręce naszych posłów atuty, którymi możnaby zwalczać zarzuty przeciw naszej narodowości. O ile wiadomo, dotychczas każdy z posłów musiał na własną rękę zdobywać wszystko, co pochłaniało wiele czasu i nie uwzględniało wielu spostrzeżeń, które daleko łatwiej mogą być zaobserwowane przez całe obywatelstwo.

W powiecie kozienieckim, gubernji radomskiej, podbój niemiecki zdobywa coraz więcej realności na własność. Ostatnia statystyka wykazuje, że 6500 morgów jest w rękach niemieckich (z górą 477 rodzin!). Fakt ten należy głęboko przemyśleć, albowiem już wiele jest takich miejscowości, w których Niemcy stanowią 40% obywateli. Gdy przymtem przerzucimy się świadomością poza granicę, w poznańskie, w Śląsk i przypomnimy ostatnie rozporządzenia Prus, co do kolonistów, którzy zamieszkali wśród nas, w Królestwie, to zrozumimy całe niebezpieczeństwo. Ostatnio, poseł do sejmu pruskiego, Trampezyński, z powodu zajęć wyborczych w Swieciu, wypowiedział mowę, która dokładnie ilustruje te hakatystyczne tendencje maffji pruskiej. Oni by chętnie przygarnęli do siebie Królestwo!

„A wiemy dobrze, że dopóki hakatyci są górą, wszelkie odwoływania się nasze do poczucia sprawiedliwości będą głosem wołającego na puszczy”.

MAGAZYN OPTYCZNY  
**G. GERLACH**  
Warszawa, Czysta 4, tel. 177.



poleca  
**WSZELKIE PRZYRZĄDY OPTYCZNE, METEOROLOGICZNE, RYSUNKOWE i t. p.**

## Hermogen i Heljodor.

Od kilku miesięcy cała prasa zajmowała się głośnymi wybrykami mnicha Heljodora, od niejakiego wszakże czasu jawnie



Biskup Hermogen.

Mnich Heljodor.

wystąpił, jako obrońca mnicha, biskup saratowski Hermogen. Mnich zyskał silnego poplecznika w biskupie.

Sprawa oparła się o synod, który zareagował surowymi zarządzeniami przeciwko obu duchownym, wyłamującym się z pod zwierzchniej władzy. Mnich Heljodor powędruje do pustelni Floriszczewa w gub. Włodzimierskiej, biskup Hermogen—na zamknięcie do klasztoru żyrowieckiego w gub. grodzieńskiej.

Hermogen chciał przeprowadzić reformy w synodzie a przede wszystkim przywrócić patriarchat w Rosji i duchowieństwo wyłączyć z pod władzy świeckiej, dążył więc wszelkimi siłami do zniesienia urzędu ober-prokuratora synodu, nie tylko swymi wpływami pragnąc tego dokonać, lecz i z pomocą licznych swych stronników z obozu nacjonalistów.

Energiczne zarządzenia władzy narazie położyły kres usiłowaniu biskupa i mnicha.

## Sprawa Ronikiera.

Sprawa Ronikiera w drugiej instancji... zainteresowanie się sprawą mniejsze niż miało to miejsce przy pierwszym jej sądownictwie. Jednakże z ręką na sercu przyznajmy, że sprawa ta jest ciekawa, a ciekawa obecnie ze względu już nie osób, które w grę wchodzi, lecz okoliczności, które mogą ją skierować na inne zupełnie tory. Choćby nawet Ronikier miał być uniewinnionym, opinii publicznej to nie zmieni a wśród młuczki, biedoty, wśród plebsu wprowadzi zrozumiałe zresztą rozgoryczenie.

Rozumie się, poza samą ohy-

dą zbrodni, wśród pobudek, które doprowadziły do niej, są okoliczności łagodzące. Warunki, w których się podsądny znajdował, teś niewyrozumiały, wierzący jedynie w potęgę złota, zaplesniały w starczej swej skropie, głuchy na wszystko co tylko mogło oprzeć się o jego decyzję ze strony zięcia a nawet córki—to wszystko zmienia tło zbrodni, czyni je może mniej czarnem, samej przecież istoty zbrodni nie zdolne jest zmienić.

Nie będziemy wnikać w detale, są one wszystkim wiadome, tok akcji prasa codzienna aż nadto szczegółowo podaje i rozwija.

Poruszyliśmy w naszych ogólnych uwagach najważniejszą kwestję ewentualnej zmiany wyroku i raz jeszcze zaznaczamy, że wrażenie jakie może to wywołać nie byłoby pożądanem ze względów natury społeczno-etycznej. Tylko niezbite, jasne, przekonujące dowody uspokoiłyby wtedy opinię publiczną.

## Odpowiedzi Redakcji.

Poszukajcemu. Szczerze współczujemy. Nadesłany urywek jest niezłą próbką jako wybór tematu, zawiera jednak spóro usterek językowych, jak np. „kościół musiał zostać zamknięty przed tłoczącym się... i t. d.“ Tłumacząc z rosyjskiego popelnia się ruseyzmy, z niemieckiego — germanizmy i t. d. Tylko najlepsze przekłady możemy umieszczać. Owszem, o próbki prosimy, może

w końcu coś się wybierze. Konwencja literacka zawieszona została niedawno między Rosją a Francją, obowiązany więc tłumacz porozumiewać się z autorem. Co do innych krajów — to nas nie obowiązuje, lecz, tłumacząc dłuższe utwory, wypadaloby jednak mieć pozwolenie autora.

P. Br. Rudz. Szkoła nie jest założona w mieście, lecz w miejscowości, o której w opisie wspominaliśmy. Był tam poprzednio zakład kąpielowy, obecnie przerebiony na szkołę. Co do innych pytań, dotyczących szkoły, nie mamy jeszcze bliższych wiadomości.

P. S. Z. w Chm. Wiersz „Złoty Róg“ bardzo ładny, lecz nie wypada nam umieszczać. Z pozostałych nie skorzystamy.

P. S. W. R. prenumeratorka z ul. Kaliksta. Żalujemy, że nie możemy pomóc. Utwory Pańskie mają w sobie może i sentyment i myśl, ale ze względu na formę, czytać je bardzo trudno. Proszę nie zapominać, że żyją dziś tacy mistrze słowa polskiego, jak Miriam, Lange, a w młodszym pokoleniu tworzą takie niezwykle talenty, jak Staff. Kto chce pisać wiersze, musi się z tem liczyć.

P. Mi. Wiersze pańskie otrzymaliśmy. Nie możemy jednak zamieścić, gdyż na długo mamy zajęty ten dział w naszym piśmie.

P. fi. Jel. Do zwrotu.

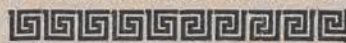
P. f. Dobrzelecki. Włocławek. Możemy tylko w bibliografii zaznaczyć o wyjściu kalendarza, jeżeli rozumie się, otrzymamy egzemplarz.

P. Wuk. Zel. Słabe, bardzo słabe. Nie chcemy brać na siebie odpowiedzialności... za „proiectwa“.

P. Anat. Ben. Do zwrotu.



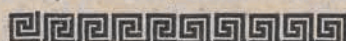
Ronikier dąży do sądu.  
Złajcie migawkowe.



LEKARZ DENTYSTA

**Regina Wajnberg.**

Nowy Świat 44,— telef. 140-84



**Dr. L. Płużański**

Lek. szpit. św. Łazarza. Chor. skór. i wener. (stos. 606). Nowy-Świat 37, tel. 95-65. Od 1—3 i od 6—8 po poł.



Gdy nie mamy zabaw fali — ślizgać można się przykładnie;  
Wszystko jedno, czy na sali — czy na lodzie się... upadnie.

### Bibliografia.

Jerzy Orwicz. Nad Arnem. (obraz z życia Juliusza Słowackiego). Str. 99. Warszawa 1911. Gebethner i Wolff.

Jan Stanisław Mar. Struny. (Poezje). Str. 167. Warszawa 1912. G. Centnerszwer i S-ka.

— Don Juan Redivivus. (Poemat cyniczny). Str. 108. Warszawa, 1911.

Aleksander Świętochowski. „Źródła moralności”. Str. 302. Warszawa, 1912. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

Bronisław Chlebowski. Pisma. 2 tomy. Warszawa. Skład u Wendego i Spółki.

## OD ADMINISTRACJI.

### WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie z odnośnieniem do domu, rocznie rb. 4.— półr. rb. 2.— kwart. rb. 1.—			
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„	„ 4.60	„ „ 2.30 „ „ 1.15
Za granicą i za oceanem	„	„ 5.—	„ „ 2.50 „ „ 1.25
W Austrii i Galicji	„	„ 12 kor. 50 h.	„ 6 kor. 50 h. „ 3 kor. 30 h.
Numer pojedynczy kop. 10 — halerzy 25.			Zmiana adresu — 20 kop.

Przybywający prenumeratorowie otrzymają komplety.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „**ZŁOTEGO ROGU**“ w Warszawie **Mazowiecka № 5**, wszystkie księgarnie i biura dzienników.

### CENA OGŁOSZEŃ.

Nadesłane przed tekstem (za wiersz 1-szpaltowy petitowy) 40 kop., 4-ta strona okładki 30 kop., Reklamy za tekstem 25 kop., Ogłoszenia zwyczajne 20 kop., Ogłoszenia specjalne 75 kop.

**TREŚĆ.** Eliza Orzeszkowa, **Z dróg i losów myśli polskiej.** — Wacław Gąsiorowski, **Wojna narodów.** — Jadwiga Rzepecka, **Złóż mi rękę na czole.** — Wiktor Gomulicki, **Walc nocnych mgieł.** — Leon Chrzanowski, **Pachną mi malwy...** — Juliusz Kaden, **Wspomnienie.** — Kazimierz Gliński, **Stare Iwy.** — **Czego uczą wybory w zaborze pruskim.** — „**Dziady**“ — **Teatr.** — **Z muzyki.** — **Ze sztuki.** — **Jubileusz arcybiskupa Teodorowicza.** — **Jubileusz Wacława Gasztowta.** — **Odczyt Hovorki.** — **Stanisław Fiszer.** — **Ś. p. Ludwik Kurcusz.** — **Jubileusz rysownika.** — **Przegląd polityczny.** — **Hermogen i Heljodor.** — **Sprawa Ronikiera.** — **Humor i Satyra.**

Redaktor przyjmuje w sprawach literackich i artystycznych w soboty od godz. 5 do g. 7 wieczorem. Redakcja otwarta od g. 12 do 3 po poł. i od g. 5 do 7 w. Administracja otwarta od g. 10 rano do g. 7 w.

Przedstawicielstwo na Łódź: Biuro dzienników „**Promień**“.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa.” Redaktor **Walenty Zieliński.** Sekretarz **Eustachy Czekalski.**

Kłisze wykonał zakład R. SAWICKIEGO, Wspólna 45.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17